

## **DRODZY PRZYJACIELE MISJI,**

piszę do Was z Madagaskaru, z miejsca, które nazywa się Marana. Nie jest to miasto ani wioska, ale po prostu miejsce, w którym od przeszło stu lat istnieje szpital dla ludzi chorych na trąd.

Moja misyjna posługa na Madagaskarze rozpoczęła się w 1987 roku. Pracowałem w różnych miejscach i pełniłem różne funkcje. Przed trzema laty trafiłem do Fianarantsoa. Stąd jest tylko 7 kilometrów do Marany, gdzie ponad sto lat temu nasz wielki rodak – o. Jan Beyzym posługiwał wśród ludzi chorych na trąd i właśnie tu wybudował dla nich szpital. Zafascynowany jego osobowością i życiem, bywałem więc w Maranie często (także i we wcześniejszych latach). Wiele czasu spędzałem przede wszystkim na prywatnych „rozmowach” z Apostołem Trędowatych, Polskim Samarytaninem. Właśnie tutaj, u jego sarkofagu, znajdowałem odpowiedź na wiele pytań i rozwiązanie wielu problemów. Nigdy jednak nie śniło mi się nawet, że kiedyś trafię do Marany na stałe.

Przez kilka miesięcy pomagałem w pracy kapelanowi szpitala w Maranie, jako że jest to człowiek już bardzo wiekowy (ma ponad 90 lat), schorowany i prawie niewidomy. W lipcu br. nasz prowincjał wezwał mnie do siebie i wręczył nominację na kapelana szpitala w Maranie. Widocznie tak mi było pisane. To dla mnie wielkie wyróżnienie, bo od czasów o. Beyzyma nie było w Maranie żadnego Polaka. Wyróżnienie, ale też i wielkie wyzwanie, bo to miejsce przecież tak bardzo zobowiązuje – nie tylko ze względu na jego wyjątkowość, ale przede wszystkim ze względu na pamięć o naszym wielkim Rodaku.

10 października (na dwa dni przed liturgicznym wspomnieniem bł. Jana Beyzyma) przeprowadziłem się do Marany. Mieszkam w domu, który wybudował o. Jan. Odprawiam codziennie Mszę św. w kaplicy, gdzie patrzy na mnie Matka Boża Częstochowska, której obraz o. Jan przywiózł z Krakowa i oprawił go w piękne, wyrzeźbione własnoręcznie ramy. Do Mszy św. używam kielicha i pateny – tych samych, których używał o. Jan. Pan Jezus mieszka tu w tabernakulum wykonanym przez o. Jana i ozdobionym przez niego pięknymi rzeźbami. Codziennie – tak, jak było to w zwyczaju ponad sto lat temu, za O. Jana – o godz. 16.00 odmawiam z chorymi różaniec. Spowiadam, udzielam sakramentu chorych, chrzczę, błogosławię małżeństwa (bo i śluby też tu się zdarzają), odwiedzam cmentarz, na którym spoczywają ci, których nawet po śmierci rodzina się wyrzekła, bo byli trędowaci...

Oprócz mnie mieszkają w Maranie siostry zakonne ze zgromadzenia św. Józefa z Cluny i mój poprzednik – staruszek kapelan, który właśnie tutaj chce doczekać kresu swoich dni i spocząć na cmentarzu obok trędowatych.

Oglądam to moje nowe „gospodarstwo” i widzę, że od stu lat niewiele się tu zmieniło. Podziwiam siostry, które tutaj „rządzą”, że jakoś sobie radzą z codziennymi problemami, a jest ich bardzo wiele. Szpital nie jest utrzymywany z dotacji państwowych. Istnieje i działa jedynie dzięki ofiarności darczyńców – głównie z Polski (tak zresztą, jak to było i za czasów O. Beyzyma). Brakuje pieniędzy na leki, opatrunki, na wszystko... Ale szpital wciąż trwa, bo o. Jan – odchodząc do Pana – zostawił go w dobrych rękach, w rękach „Czarnej Mateńki z Częstochowy”. I to Ona troszczy się codziennie o wszystko.

Na barkach sióstr spoczywa troska o sprawne funkcjonowanie szpitala, zapewnienie leków, wyżywienia dla chorych itd., itd. One także są tu na co dzień pielęgniarkami i „lekarzami” pierwszego kontaktu. Prowadzą niewielkie gospodarstwo – uprawiają ryż, hodują świnie i ptactwo. Mają też niewielką pasiekę, z której miód jest prawdziwym przysmakiem dla chorych. Opiekują się też ogrodem okalającym szpital, gdzie rośnie mnóstwo kwiatów i krzewów ozdobnych a także i drzewa owocowe.

Zarówno szpital, jak i pozostałe budynki liczą sobie ponad sto lat i do tej pory nikt nie robił tu większych poważniejszych remontów, a takie są konieczne. Kiedy dostałem nominację na kapelana, musiałem trochę poczekać z przeprowadzką, bo siostry oznajmiły mi, że w pokoju, w którym miałem zamieszkać, zawalił się sufit. Siostry sufit naprawiły i już mieszkam sobie w niewielkim pokoiku z widokiem na eukaliptusowe lasy otaczające Maranę. Czasem, kiedy idę do łóżka, myślę sobie: „Czy ten sufit wytrzyma?”... Na razie włos mi z głowy nie spadł, ale prawda jest taka, że wszystko tutaj trzyma się „na słowo honoru” i aż krzyczy o naprawę, o solidny remont.

W Maranie jestem zbyt krótko, ale i to wystarczy, żeby poznać wszystkie bolączki i problemy, z jakimi borykają się mieszkańcy tego miejsca. Kiedy na Maranę patrzy się z zewnątrz, człowiek doznaje zachwyty, bo jest to jedno z najpiękniej położonych miejsc na Madagaskarze. Dookoła góry i eukaliptusowe lasy, soczysta zieleń i nad głową błękit nieba piękny niczym w Italii... Za bramą szpitala witają gości przepiękne krzewy i drzewa, rabatki pełne róż i innych, pachnących kwiatów. Gdyby nie fakt, że jest to miejsce odosobnienia dla chorych na trąd, można by pomyśleć, że to kawałek raju na ziemi. Ten „raj” odgradzony jest od świata wysokimi murami. Sto lat temu, kiedy był tu o. Jan Beyzym, nikt żywy stąd nie wychodził. Dzisiaj, kiedy trąd można leczyć, większość pacjentów szpitala może opuścić to miejsce po zakończeniu kuracji. Leczenie trwa jednak bardzo długo i na powrót do normalnego życia czeka się czasem latami. Chorzy cierpią bardzo. Niektórzy,

kiedy choroba jest już bardzo zaawansowana, muszą poddać się amputacji stóp, palców u rąk bądź nawet i całych dłoni. Tak okaleczeni mają mniejsze szanse na normalne życie po wyjściu ze szpitala. Najbardziej jednak boli serce, kiedy patrzy się na chore dzieci, a jest ich w Maranie sporo, bo ponad 40 (od niemowlaków po 19-latkę). Trójka z nich to sieroty, którym trąd zabrał obydwój rodziców. Dwoje (w wieku 3 i 5 lat) choruje na gruźlicę.

W Maranie siostry prowadzą żłobek, do którego uczęszcza 18 dzieci. Starsze chodzą do szkoły, którą tu, na miejscu, prowadzą zakonnice. W jakich warunkach się uczą, jak wyglądają sale lekcyjne, jakie mają pomoce naukowe – nie będę opisywał, bo w XXI wieku trudno w to uwierzyć. Dzieci cieszą się jednak, że mogą nauczyć się pisać, czytać i jeszcze czegoś więcej. W czasie wolnym bawią się jak wszystkie dzieci, choć nie ma tu pięknie i bogato wyposażonych placów zabaw i „wypasionych” zabawek. Najczęściej muszą zadowolić się skakanką, grą w klasy bądź zabawą w chowanego. Dzieciaki uśmiechają się szczerze i serdecznie do każdego, choć cierpienie jest też ich udziałem na co dzień. Po zakończeniu leczenia mali pacjenci z Marany mogą kontynuować naukę w katolickiej szkole sióstr w Ambozontany. Jest to jednak szkoła płatna i nie zawsze wystarcza środków by tak się stało. Najzdolniejszym udaje się czasem trafić na studia, ale nie zdarza się to często, bo po prostu brakuje pieniędzy.

W tym roku, dzięki hojności darczyńców, dzieci z Marany mogły wyjechać na krótki wakacyjny obóz, gdzie uczyły się szacunku do przyrody stworzonej przez Boga i poznawały wszelkie skarby otaczającego je środowiska.

Każdego dnia dzieci uczestniczą w Mszach św., które odprawiam w kościółku wybudowanym przez o. Beyzyna. Przychodzą też na różaniec, który o godz. 16.00 odmawiamy codziennie w intencji ofiarodawców, dobrodziejów Marany. O, jak one pięknie się modlą i jak pięknie śpiewają!...

Patrzę na te dzieciaki i oczy zaraz robią mi się wilgotne, bo wiem, że to ich dzieciństwo naznaczone jest wielkim cierpieniem. Chciałyby – tak, jak inne, zdrowe dzieci – zobaczyć świat, nie martwić się o to czy nie zabraknie dla nich jedzenia, a przede wszystkim nie cierpieć. Niestety, jest inaczej, ale one znoszą to bardzo dzielnie i zadziwiają swoim optymizmem.

Jeśli los tych dzieciaków nie jest Wam obojętny – DRODZY CZYTELNICY tego listu – bardzo proszę o pomoc dla nich. Liczy się każdy przysłowiowy grosz. Bo za ten grosz można kupić garść ryżu, lekarstwa, opatrunki, książki, zeszyty, ołówki, kredki itp., bądź też opłacić szkołę poza murami szpitala.

O. Jan Beyzym wysłał w świat listy z prośbą o pomoc, więc i ja mam odwagę to uczynić, bo (podobnie jak on) nie proszę przecież dla siebie, ale dla

tych najniezwyklejszych z nieszczęśliwych, najbiedniejszych z biednych, cierpiących i opuszczonych. Mam odwagę prosić o pomoc przede wszystkim dla tych dzieci, które tak bardzo cierpią i chciałyby żeby ich życie stało się radośniejsze, bardziej normalne.

Jeśli ktoś chciałby nawiązać kontakt ze mną, dowiedzieć się czegoś więcej o Maranie – proszę napisać do mnie; chętnie odpowiem.

Proszę o modlitwę w intencji wszystkich chorych z Marany, a także i w mojej, bym mógł godnie zastąpić tutaj bł. Jana Beyzyma – Apostoła Trędowatych, Polskiego Samarytanina, wielkiego naszego Rodaka.

Pozdrawiam bardzo serdecznie z Marany.

Z modlitewną pamięcią

o. Józef Pawłowski SJ

– kapelan szpitala (dla chorych na trąd) w Maranie

**jozefpawlowski@gmail.com**